

112
474
A
LUDWIK KRZYWICKI.

W OTCHŁANI.

... A była tam przy górach wielka trzoda świni, która się pasła. I prosili go oni wszyscy dyabli, mówiąc: Puść nas w te świnię, abyśmy w nie weszli.

Marek ewang. V, 11, 12.

WARSZAWA 1909.

Czcionkami Drukarni Naukowej, Hoża 60.



SWOJEJ ŻONIE

POŚWIĘCA

AUTOR.

Przed laty wielu powziąłem myśl rozpatrzenia tego, jak życie dzisiejsze oddziaływa na różne sfery działalności naszej naukowej i artystycznej. Powstały, zresztą w odstępach czasu bardzo nierównych, przyczynki poświęcone temu przedmiotowi.

Szkice te postanowiłem zebrać pospołu w jednej książce. Ta sama idea zasadnicza wiąże je wszystkie, a zanim oddzielne z nich ukazały się w druku, już istniały w wyobraźni mojej, jako części tej samej zwartej całości.

Ale gdy jałem się wykonania zamiaru i zacząłem układać z wątków rozstrzelonych całość, była chwila iż chciałem porzucić pracę.

Niepoznałem własnego tworu.

Przyrodnicy wiedzą, iż jeśli poddawać płód zakłóceniom, to można zniszczyć harmonję jego budowy i nadać mu kształty potworne.

Warunki, w których wypadło mi ogłaszać pojedyncze części zamierzonej pracy, te tak wszystkim pracownikom pióra znane wa-

runki zarobkowania dziennikarskiego, wykoszlawiły harmonję całości. Trudno było traktować rzecz po akademicku: życie nasuwało pytania, domagało się odpowiedzi natychmiastowej, zmuszało do potrącania mnóstwa kwestji pobocznych. A kiedy nadszedł czas powiązania fragmentów, wyszły na jaw luki przeraźliwe, to znowu zboczenia podrzędne, ale liczebne. A co najgorsza, zbrakło odwagi do uskutecznienia niezbędnej operacji chirurgicznej. W tych szkicach zakrzepła część życia mojego, a niektóre pisałem niemal krwią własną. Tu i ówdzie obciąłem rzeczy obojętniejsze lub zanadto odbiegające od osnowy zasadniczej, niekiedy usiłowałem stworzyć łącznik nieistniejący pomiędzy oddzielnymi częściami. Ale to nie przywróciło starganej harmonji. Dałem za wygraną: zdecydowałem się puścić te przyczynki, pozostawiając dawne kształty prawie bez zmiany. Co do układu swego i powiązania wzajemnego myśli będzie to potwór, istne dziecko Otchłani, ale bądźco bądź potwór, w którym wyraz swój znalazł ból niejeden i niejedno marzenie.

Autor.

I.

W ogniskach rozpraw i zabaw gwarnych, w ustro-
niach ascetyzmu i przybytkach modlitwy, na murach
ulic, przyczółkach mostów i fasadach domów, a na-
wet na przedmiotach użytku codziennego, sztuka śred-
niowieczna uparcie odtwarza ponury temat tańców
śmierci. Dłuto i pędzel gorliwie pokrywały obraza-
mi tej treści każde wolne miejsce w świątyniach i do-
mach, a poeta uwieczniał ją w słowie rymowanym.

Może pierwszy ku temu pochop dały rozmyśla-
nia ascetów nad światem, z pogardą patrzące na za-
chcianki „osła” cielesnego i nawołujące do skruchy
biadaniem bezustannym nad znikomością „tego padołu
płaczu”.

Może nieświadom praw swoich plebejusz mścił
się w ten sposób i protestował przeciw różnobarwnej
niby mozaiką hierarchji feudalnej, a nie mając mocy
„w czynów stal uderzyć”, szukał ucieczki w sztuce
i przypominał dostojnikom ówczesnym, że wszyscy je-
steśmy równi wobec śmierci.

Albowiem taniec śmierci uprawiał z zamiłowa-
niem ideę równości.

Śmierć-matula, w postaci kościotrupa ohydnego,
prowadzi płasy, a zaprasza każdego bez względu na
stanowisko.

Wszyscy są równi przed jej gościem: dumny
możnowładca rozkazujący licznym włościom, a najpo-